Ner 43. Kraków, 28go Października. 1861.

ROK II.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:
Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. . a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „
Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „
„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr. i Królestwa Polskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr. — Talar pruski przyjmuje się po 2 zł. w a.
Inseraty (stósowne) opłacają się: za pierwszorazowe umieszczenie od wiersza petytowego 4 cent., nastepnie po 2 cent. Dokłada się 30 cent. za każdą razą na stempel rządowy.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

JESZCZE SŁÓW KILKA
O JĘZYKU OJCZYSTYM.

(Obacz Nr. 31, 34, 37 i 41).

V.

Miecze te . . . bolu
. . . .
Te są gorsze od kąkolu
Wady na ojczystem polu,
Z których boleść ma ojczyzna.
Pierwszy miecz, co w niej usterka
. . . . jest to *francusczyzna.*
Juliusz Słowacki.

Po rozprawie z „Zamiarem dziennika Wiary“ wracamy do rzeczy samej, poprzód rozpoczętej, do znaczenia języka ojczystego i jego stosunku do obcych. A najprzód nie możemy sobie odmówić przytoczenia słów księdza Włodka, jezuity, popierających sprawę naszą i malujących żywo stosunek języka ojczystego do francusczyzny, wypierającej mowę ojczystą z używania po towarzystwach wyższych. Otóż w XVIII wieku wzdryga się już ów poczciwy kapłan na owo bezrozumne paplanie językiem obcym, a miłością dla języka ojczystego przyjęty wymownemi słowy odzywa się do błądzących rodaków.

„Te narody — mówi ks. Włodek — które zaniedbawszy swego języka, chwytają się obcych, i niemi między sobą gadają, podobne są do niewdzięcznych synów, którzy, matkę własną z domu wyrzuciwszy, przyjęli przychodnią jakąś niewiastę i ją sobie za matkę mają. *To można mówić o nas niektórych Polakach.* Wygnaliśmy za próg matkę naszą, a obcą jakąś przyjęli na miejscu matki. Matka nasza siedzi nędzna na folwarku między czeladzią, a owa gościnna niewiasta siedzi w pokojach między nami; ona z nami u stołu siada, z nami na wszelkich biesiadach i zgromadzeniach jest, wszyscy ją szanują, wszyscy jej się kłaniają; a kto jej nie zna, za prostaka i niegodnego towarzystwa szlacheckiego poczytany bywa; a gdy my tej cudzoziemce nadskakujemy, gdy ją między sobą za boginią mamy, jej krewni i rodacy z boku się na to patrzący, z nas się natrząsają i płochość naszą palcem wytykają. Nasza matka w kąt zarzucona, bez powagi, bez ozdoby, bez dostatku zostaje, a o żebraninie żyć, w sukniach gęsto i plugawo łatanych chodzić musi; ta zaś nowa jejmość w klejnociki się naszej matki stroi, i suknie matczyne nie do swego wzrostu ani twarzy robione bierze, tak, że ani tym sukniom na niej, ani jej w tych sukniach nie przystoi — zgoła z matkiśmy niewolnicę uczynili.“

Tak prosto i rzewnie przemawia ów poczciwy syn naszej matki a zacny kapłan, jezuita *) polski, w zeszłym już wieku. Niestety! w kilkadziesiąt lat później musimy to samo powtarzać, bo jeszcze w znacznej części te same stosunki trwają, na które z zbolałem sercem patrzał nasz poczciwy Polak-Jezuita! A przecież przy każdej sposobności prawimy i piszemy wiele o postępie!

Czyż można więc dziwić się nam, że podnieśliśmy na nowo sprawę ojczystego języka; że rozbierać musimy rzeczy dawno znane, ale niestety w wykonaniu zaniedbywane; że i w niniejszym urywku o tej samej sprawie kilka uwag dorzucimy.

Czem jest język ojczysty w stosunku do duszy naszej i jak się różni od języków obcych, wyjaśnię uwagami zaczerpniętemi z doświadczenia, z życia naszego codziennego.

Odwiedziłem raz młodego lekarza i zastaję go nad rozmowami francusko-polskiemi. Zdziwiony pytam: czy ma tak wielką praktykę u cudzoziemców? „Nie“ odpowie lekarz. „Potrzebny mi język francuski do praktyki w domach polskich.“ „A to znów na co? czy same guwernantki i bony francuskie leczysz?“ zapytałem. „Broń Boże!“ odpowie. „Są sprawy — mówił dalej lekarz — o których przy badaniu naszych polskich pacyentek, pytając się po polsku, niczego się nie dowiesz. Przebąknie ci zaledwie słówko i zarumieni się po uszy tak, że nie wiesz, co dalej począć? Zapytajno o to samo po francusku, to ci odpowie na wszystko bez zająknienia się i zarumienienia, chociażby rzecz tyczyła się najdrażliwszych tajemnic natury kobiecej.“ Uderzyło mnie to spostrzeżenie lekarza i dało do myślenia, a w następstwie wyjaśniło wiele ważniejszych zagadnień. A przedewszystkiem stanęła mi w duszy ta olbrzymia różnica, jaka zachodzi między językiem ojczystym a obcemi pod względem stosunku do duszy mówiącego. O drażliwszych bowiem tajemnicach płci swojej *wstydzą się* kobiety nasze mówić *w języku ojczystym; w obcym zaś mówią bez żenady.* Dla czego? Bo w wyrazie własnym, w duszy naszej poczętym, tkwi zarazem ciągłe poczucie jego znaczenia: słowo więc czyli brzmienie zewnętrzne połączone nierozerwanym, żywym węzłem z duszą. Wymawiając wyraz, poruszamy głąb duszy, a jeźli wyraz dotyka poczucia wstydliwości, to wywołuje zarazem rumieniec na twarzy niezepsutej duszy i czystego serca. Wyrazy obcego języka, to przybory zewnętrzne, to jak zdawkowa moneta, to marki pewną wartość tylko zastępujące: a więc w sobie nie mające dla nas właściwej wartości— to jakby po za duszą przyczepione strzępy. Wymawiamy je tak poniekąd, jakby wydawała

*) Sądzę, że okoliczność ta powinnaby silnym i wymownym stać się dowodem dla „Zamiaru Dziennika Wiary.“ P. A.

brzmienia machina do tego przyrządzona. Wyraz więc obcy, jak to mówią, ani grzeje ani ziębi.

I dla tego to pewne części ubioru wolimy nazywać po francuzku, aniżeli po polsku: bo polskie ich nazwy sprawiają, że płeć piękna co najmniej oczy na dół spuszcza. Dla tego to nazwa francuska onych pań, co rządziły Francyą i jej wszechwładnymi królami w zeszłym wieku, dziś prawie nie razi. I dla tego to także w ważnych, w stanowczych chwilach, w których dusza w istocie swej bywa poruszona, nikt się nie odezwie obcym językiem, chociażby nim władał i często nawet mówił, chyba w kim poczucie się w jestestwie swem narodowem zupełnie zaumarło. Znana pod tym względem jest anegdota o jakiejś tam pani plutokratce, co to zachorowawszy cierpienia swe *językiem nauki, dyplomacyi i oświaty europejskiej* wyrażała. Mąż siedzący z lekarzem w pobocznym pokoju za każdem „mon Dieu!“ żony zrywał się i wzywał pomocy lekarskiej. Ale doktor bywalec, znawca natury ludzkiej, uspakajał go każdym razem uwagą, że jeszcze niema niebezpieczeństwa. Dopiero kiedy zamiast konwencyjnego: „mon Dieu!“ słyszeć się dało naturalne, niewyuczone, z głębi duszy wyrywające się semitycko-germańskie: „Aj waj!“ zerwał się lekarz, dotąd niewzruszony stoik, i pospieszył do gabinetu chorej. Taka to różnica pomiędzy sztuką a naturą; pomiędzy językiem obcym, nabytym, a przyrodzonym, z duszą zrosłym, ojczystym. I tu także leży przyczyna, dla której uwierzyć niepodobna, żeby ów na świat cały głośny bohatyr, który w życiu nigdy nie grał komedyi, w chwili arcystanowczej mógł był wołać frazą z języka obcego pożyczoną.

Nie dość na tem. Spostrzeżenie mojego lekarza posłużyło mi do wyjaśnienia zjawisk rozleglejszych, w sferę obszerniejszą sięgających. Zapuściłem się myślą w głąb życia narodowego, w przeszłość naszą dziejową, i wytłómaczyłem sobie, dla czego w zeszłym, ba nawet jeszcze i na początku bieżącego wieku tyle było zgorszeń, tyle skażenia obyczaju ojczystego, tyle obrażonej i zatartej skromności, tyle rozerwanych stadeł małżeńskich i rozwodów, tyle publicznej niemoralności i mizdrzącego się bezwstydu!

Dla czego? Oto włóczęgi: awanturniki i awanturnice cudzoziemskie uczyły wzrastające pokolenia rodzin znamienitszych *zasad religii i moralności*, — jeśli nie mitologii i to jeszcze przed katechizmem — *po francusku*. Cóż z tej pamięciowej nauki, z tego mechanicznego recytowania, choćby najszczytniejszych prawd w języku obcym, mogło przylgnąć do młodocianej polskiej duszy, do polskiego serca, o które się tylko obijały brzmienia? Z pamięci wkrótce uleciały słowa, a w sercu i duszy zostały próżnia, czczość i zimno.

Takie, za młodu już zatęchłe i zmrożone serca, stawały później przed ołtarzem pańskim wybierając się na dalszą dozgonną pielgrzymkę życia i przysięgały sobie wiarę, miłość i wierność w języku obcym francuskim, którego słowom nie towarzyszyło poczucie znaczenia wewnętrznego. I cóż się zwykle działo potem? Oto wkrótce nie wiele, albo nawet nic nie robiono sobie z samej przysięgi!

A cóż jeszcze dalej? Oh! wstyd powiedzieć i ból za serce ściska na samo wspomnienie; ale powiedzieć przecież potrzeba! i to powiedzieć nie półgębkiem, ale całym, niestłumionym głosem, jak na pierś poczciwą i sumienie prawe przystało; wypowiedzieć jako fakt dziejowy, którego ukrywać nigdy się nie godzi; wypowiedzieć jako naukę dzisiejszemu pokoleniu, jako przestrogę dzisiejszym matkom wychowującym i za mąż wydającym córki!

Oto prawiono sobie grzeczności i komplementa w języku obcym, a dalej robiono i propozycye w tym samym obcym języku. A ponieważ, jak się powyżej rzekło, ze słowami obcemi nie budziło się poczucie wstydu, więc i przyjmowano propozycye: a stąpającym już po tej śliskiej i spadzistej drodze, nie wywoływała rumieńca i propozycya po polsku wyrażona!

I zatruto jadem zepsucia domy i rodziny niegdyś bojaźnią bożą, czystością obyczajów, świętością cnót domowych i ciepłem miłości rodzinnej stojące. A rodzina, wszak to wie każdy, to ognisko, przy którem grzeje się naród; to żrzódło życia i cnót publicznych, to kolebka wielkości i znakomitości dziejowych, to pierś matczyna, z której naród ssie ciągle pożywienie na całe swe życie. I zbeszczeszczono poczucie wstydu, zaplugawiono serca, rozstrojono spokojne niegdyś sumienia, rozerwano najściślejsze węzły ślubu, przed Bogiem zawartego, i węzły krwi, osierocono dzieci, ktore się błąkając, bez miłości matki i bez powagi ojca, nie znalazły i w dalszem życiu punktu oparcia! A tem wszystkiem gorszono maluczkich, co jak w tęczę patrzyli dotąd na poważne niegdyś cnotą i przykładem jaśniejące gwiazdy na widnokręgu życia narodowego!

A kiedy się to dzieje, rozniemogła się biedna matka, bo zakrwawiły jej serce hańba i rozpusta dzieci. A to rany i bole sroższe nad wszystkie żary zadane żelazem, choćby i najokrutniejszych morderców; bo to rany zadane matkobójczą ręką dzieci! I legła nieszczęśliwa chora na łożu boleści i niemocy! A dzieci? czy się przynajmniej opamiętały?

Dzieci? Córy jej — te wnuczki tych niewiast, co synow-
(skie ciało
I zgon nie nadto, ani też za mało
Umiały płakać, gdy legł za ojczyznę—

córy jej, to jak one pogańskie rozpustą pijane bachantki, chichotały się splamionemi usty kokietując na targ wyniesionemi wdzięki!

A synowie jej, potomkowie onych rycerzy maryańskich, co mienie, krew i życie na wyścigi nieśli, skoro zażądał Bóg, matka i bliźni; — synowie jej, ci synowie i wnukowie „owych panów w żupanie, u których w sercu cnót na króla stanie“ — synowie jej przedzierzgnięci w arlekiny i błazny wersalskie, jak one mityczne satyry, a raczej jak on Herkules w upadku na usługach Lidyjskiej kokiety, gonili za wietrznicami, co tak szczebiotały i wabiły obcym językiem!

I krążyły te pary dorodne, wesołe, swobodne i zadowolone z siebie, hulając i szalejąc około łoża cierpiącej i bolejącej matki. Istny chór masek z Maryi Malczewskiego, radujących się i pląsających przed popełnieniem najszkaradniejszej zbrodni!

I zrozumiałem dla czego to gdzieś tam przed laty jakiś biedny poeta, o zakrwawionem sercu, w chwili bólu nieco może niegrzecznie napisał:

Zapytajcie sióstr swych i rówiennic,
Tych zmienników i tych zmiennic,
Co kupili piekło w domu!
W których piersi pokryjomu
Bolą serca tajemnice —
Gdzie Sakrament obrażony:
To nie męże, to nie żony...
Ale to są nałożnice!...

O przepraszam — lecz żal trudu,
I nie powiem nic już więcej.

Niech domówią reszty dzieje,
Zkąd są zdrajcy i złodzieje?...

Tak napisał poeta. Ale ja, niechcąc być spólnikiem jego niegrzeczności, pytałem także dziejów i domówiły nieco innemi słowy.

Oto trwa jeszcze owa rozpasana maszkarada; a w tem Pan Zastępów, zrzódło świętości, odwrócił swe opiekuńcze oczy od widoku bezwstydu i kału, i gmach niegdyś potężny runął. I spełniło się, co niegdyś wybranemu ludowi głosił przez proroków, a co powtarzał i przepowiadał narodowi swemu sługa boży, wielki niegdyś kapłan narodu. „Wyrzuć je, patrzyć na nie nie chcę; niech idą! I spytaliśmy: gdzie pójdziem? Powiedziano. Tak mówi Pan Bóg: Kto na śmierć, ten na śmierć; kto na miecz, ten na miecz; kto na głód, ten na głód; kto w niewolę, ten w niewolę. Jedni z was poginiecie głodem, a drudzy mieczem, a trzeci się po świecie rozprószycie. Panowie przezacni, złotem odziani, stali się jako gliniane skorupy u garncarza. Spętają pany i pożoną jako barany w cudze strony. Ustało wesele serc naszych, obróciło się w płacz śpiewanie nasze!“ I gmach runął! Nie; pomyliłem się. Nie; gmach nie runął. Runęły, a raczej rozlazły się nierządem zbudowane a błotem rozpusty rozmiękczone górne części gmachu! Fundamenta i dolne mury pozostały silne, nienaruszone, bo zbudowane na gorącej wierze, na bojaźni bożej, na poświęceniu; bo spoczywają na twardych kościach olbrzymów, bohaterów, w których „zbutwiałej prawicy rdzewieje dotąd jeszcze klinga szablicy; pozostały, rzekłem, silne i niewzruszone: bo zamiast wapna i cementu pokitowane i pospajane najtrwalszym i najdroższym na ziemi kitem: krwią przelaną w obronie spraw najświętszych wiary, ojczyzny i bliźnich!

Tak jest: fundamenta i silne mury pozostały, i sterczą olbrzymim pomnikiem na świadectwo prawdzie i wołają o odbudowanie!

Matki! dzieci wasze wystąpią po nas, bo wystąpić powinne jako przyszli budownicy, co się starać mają, aby sterczące mury nie runęły w gruzy. Przyspasabiajcie materyały! A wiecie jakie? Oto: Cnota — Cnota — i jeszcze raz Cnota! bo „najwyższy rozum Cnota.“

Wszczepiajcie ją w młodziutkie serduszka dziatek waszych! Macie potemu proste a najdzielniejsze środki: miłość macierzyńską i język ojczysty! język, którym do dzieci swych przemawiały matki Tarnowskich, Zamojskich, Żółkiewskich, Chodkiewiczów, Sobieskich i Kościuszków!

MARYA KAZIMIERA,

KRÓLOWA POLSKA.

I.

Było to roku 1646. Świetny, przepyszny i prawdziwie królewski orszak podróżnych, z osób obojej płci złożony, po dalekiej, bo z Francyi przez Belgię i Niemcy północne, odbytej podróży zawitał do polskiego miasta Gdańska. Podziw strojów, zwyczajów i mowy, wszystkim prawie z tego pysznego towarzystwa nieznanych, malował niezwykłym wyrazem ich cudzoziemskie twarze, pomiędzy któremi jedna szczególniej na wszystko bacznie swoje przenikliwe zwracała oczy. Była to Marya Ludwika Gonzaga, żona panującego jeszcze dość szczęśliwie w Polsce Władysława Wazy, której on jeszcze nie znał, bo zawarł z nią ślub, tak zwany *prokuracyjny*, przez trzecią osobę — a orszak mnóstwa panów i pań, to towarzystwo królowej, uprzyjemnić mające długą jej podróż, tem przykrzejszą, iż księżniczka Gonzaga piękną Francyę na zawsze opuścić musiała. Nie będziem się tu długo nad osobą Maryi Ludwiki zatrzymywali; życie jej, charakter i sprawy w Polsce, znajome już są łaskawym naszym czytelniczkom, bo w tegorocznych numerach *Niewiasty* opisane, spojrzyjmy tylko pokrótce po tym znakomitym orszaku, który otacza królowę, bo pośród niego ukrywa się piękna i miła twarzyczka, na którą my całą naszę zwracamy uwagę. Więc widzim najprzód naszego Krzysztofa Opalińskiego, wojewodę poznańskiego i księcia Wacława Leszczyńskiego, biskupa warmińskiego, który dawał ślub królowej; — mnóstwo znakomitej młodzieży polskiej towarzyszy dwóm wymienionym senatorom. W orszaku zaś, przez dwór francuski Maryi Ludwice wyznaczonym, widzimy jej ochmistrzynią marszałkową de Guebriant, wdowę po sławnym bohaterze Francyi, w charakterze nadzwyczajnej posłowej. Dalej w pobliżu królowej, bo jej tłómaczem będący, przedstawia się nam biskup d'Orange, na wszystkie a liczne łacińskie powitania Polaków zawsze jednym i tym samym konceptem odpowiadający; widzim pana de Laboureur, szlachcica francuskiego, który później tę świetną opisywał podróż, różne baśnie niesłychane wmięszawszy do niej o Polsce *), widzimy dwór królowej z samych pięknych i znakomitych dam Francyi składający się, a między niemi młodą, rozkoszną, pełną uroku i piękności w oczach — nie przewidującą zapewne wielkiego skutku swej smutnej, bo z ojczyzną rozdzielającej ją podróży: Maryę Kazimierę d'Arquian, córkę Henryka markiza de la Grange d'Arquian, kapitana gwardyi przybocznej księcia Filipa Orleańskiego (brata panującego we Francyi Ludwika XIV). Mnóstwo panów i pań, towarzystwo królowej uzupełniających, to reszta wielkiego obrazu, na którym jednakże najwięcej nas owa maleńka, młodziuchna, bo ledwie dziesięć lat może licząca, Marya zajmuje. Zwróćmy więc na nią uwagę. Jedzie ona między damami dworskiemi Maryi Ludwiki, jedzie do Polski, zdaje się dla tego już tak wcześnie, aby miała sposobność dobrze rozpatrzyć się w tych stosunkach i sprawach, któremi później wypadnie jej kierować i rządzić. Przeznaczenie, które pojąć umiemy dopiero wtedy, gdy się już spełniło, zdradza nam od razu serdeczną swoją opiekę, jaką nad tą młodą dziewicą Francyi rozciągnęło. Córka bogatego wprawdzie i znakomitego oficera, oraz żony jego Franciszki de la Chatre, guwernantki królowej, nie mogła przecież ani na chwilę zamarzyć o szczęściu, jakie jej przeznaczenie zgotowało.

W roku więc 1646 w dniu 11go lutego rozpoczyna Marya Kazimiera polskiem oddychać powietrzem. Odtąd historya jej życia należy do nas. Przeszłość jej lat dziecięcych, (spędzona w bliskości królewskiego dworu we Francyi, dworu, który jej młode oczka oswajał z blaskiem i przepychem, jakiemi nauczył królów Europy otaczać się do koła) nie nosi na sobie żadnego wybitnego charakteru, o którymby historya przemilczeć nie mogła. Ukołysana w rozkoszach, o rozkoszy też najwięcej marzyć młodocianą duszą nawykła. A gdy została nareszcie wziętą do dworu Maryi Ludwiki, wtedy już poraz pierwszy Marya Kazimiera poczuła go-

---

*) Pisze między innemi fałszami o Polsce p. Laboureur, że w Wieliczce jest podziemne ogromne miasto, z którego ludzie nigdy na wierzch ziemi nie wychodzą, i nieoglądają światła słonecznego.

dność swoją — i ta też godność, czyli raczej tej godności poczucie, jedynym ważnym może być faktem, który do dziejów jej życia z epoki pobytu jej na ziemi ojczystej zapisać należy.

Marya Kazimiera nieodstępną była towarzyszką we wszystkich dalszych podróżach Maryi Ludwiki. Przybyła więc z nią razem do Falenty, zameczka królewskie go pod Warszawą, udała się później do Warszawy i obecną była odbytej po kilku tygodniach w Krakowie koronacyi królowej. Do śmierci Władysława IV przebywała też z królową w Wilnie.

Wzrastając i rozwijając się z latami, jako kwiat, który w obcą przesadzony ziemię przyjął się, i dawnego swej piękności powabu i życia nie stracił — Marya Kazimiera na dworze królowej Gonzagi, pośród zbytków, i właściwych owym wiekom przesadnych częstokroć zabaw, nabierała usposobienia, które wcale nie na korzyść jej charakteru wpłynęło. Coraz więcej widząc i rozumiejąc, przychodziła do tego poznania, które kobietom dawa uczuć swoją potęgę wpływu i wyższości nad mężczyznami. Nie małą też do tego jej wydoskonalenia się szkołą, był sam dwór Maryi Ludwiki, która po śmierci Władysława IV, będąc żoną brata jego, nieszczęśliwego Jana Kazimierza, dochodziła do coraz większej przewagi nad mężem, sprawom całego kraju przewodnicząc. Marya Kazimiera, jednakże, jak się to często wydarza, przeszła swoją mistrzynię. Historya jej życia, którą tu podajemy, okaże później, ile podobną była do Maryi Ludwiki, a o ile ją przewyższała.

Wrodzone wadliwe przymioty człowieka, (jeżeli je ma), może tylko dobre wychowanie zatrzeć prawie zupełnie. Gdy jednak skłonnościom duszy, każde niemal codzienne wrażenie najzgodniej, najprzyjemniej odpowiada, wtedy człowiek to małe zło, które mógł był z łatwością wytępić, wykształca w sobie w charakter, tętnujący później w każdej kropli krwi jego, odznaczający go od innych nikczemnością i niegodziwością czynów.

Młoda d' Arquian, rzekłbym, wrodzoną już miała skłonność do wszystkiego, czego właśnie młodym dziewczętom cnotliwi wzbraniają rodzice. Zamiłowanie w strojach i przepychu, rozkosz zabawy i słodkie ale zgubne zapomnienie o duszy i jej życiu nieśmiertelnem, o to są te silnie działające trucizny, przywiezione niestety! do Polski z Francyi, których Marya Kazimiera wielkiemi dozami zażywała. Skutek był widoczny.

Piękna dama na dworze, zepsuciem i światową uciechą słynącym, dochodziła szybko do coraz większych tryumfów, coraz większem bohaterstwem salonów odznaczając się.

Nie jedna to ona była, która się na dworze Maryi Ludwiki, nieznanym u nas jeszcze tak dobrze urokiem i wdziękiem, do polskiej młodzieży uśmiechała. Marya Kazimiera bowiem, wraz z innemi z Francyi sprowadzonemi damami, była tylko narzędziem wyższej daleko polityki, usiłującej za pomocą bardzo ponętnych i skutecznych środków, bo za pomocą piękności kobiecej, (i nadsyłanych od Ludwika IVgo zasiłków), jak najwięcej pozyskać w Polsce zwolenników. Taką była polityka Francyi — takim środkiem jej wpływów była Marya Kazimiera. Przygotowała się też panna d' Arquian do skutecznego działania i do dobrego odegrania swej roli jak najusilniej, postępując coraz znakomiciej na drodze swojego zawodu.

Zdawać by się mogło, że jakkolwiek dwór Maryi Ludwiki, przywieziony z nią z zepsutej już naówczas Francyi, sam przez się nie mógł być świątynią cnót i moralności — to przecież przez to samo, że się znajdował pośród tej Polski, która dotąd wiarą i najszczytniejszą moralnością słynęła, powinien był najprzód stracić na swojej wpływowości zgubnej, a następnie naprawić się zacnością otoczenia, naprawić się doświadczeniem cnót narodowych polskich. Ale niestety! temu przypuszczeniu sprzeciwia się prawda dziejów. Z boleścią wprawdzie, lecz sumiennie wyznać musimy, iż i w Polsce już wtedy obyczaje dużo na swojej starodawnej prostocie, prawości i zacności straciły. Już wtedy łatwo bardzo przyjmowały się przywożone z daleka nowostki, bez względu na to, że one tłumiły najszlachetniejsze przymioty i uczucia narodowe. Swawola szlachty, tak na sejmach jak w trybunałach i w wojsku, osłabiała coraz znaczniej powagę prawa, za czem też najnaturalniej szły bezprawia, upadku moralnego najistotniejsze powody. Im zaś więcej złego przykładu po kraju całym się szerzyło, im częstsze i pospolitsze wydarzały się sposobności zaprawiania się w lekkości, przejmowania *manier* cudzoziemskich, tem snadniej było róść wyrachowanemu wpływowi, który ująwszy człowieka formą, zwyczajem, skłonnością, ujął go tem samem i pozyskał dla swojej sprawy z duszą i sercem.

Nie było więc już ze strony narodu przeszkody, mogącej swobodnemu rozwijaniu się rozkoszy dworskich stanąć na zawadzie. Nie było tak wielkich trudności, którychby słodki i rozkoszny uśmiech pięknej i w łaskach dworu zostającej damy nie pokonał. Inaczej to bywało przedtem, inaczej! lecz silnie zaczęła teraz ta nowa panować moda *).

W lat kilka po swoim przyjeździe znaną już była wszystkim panom, do dworu królewskiego wstęp mającym, młoda i pełna wdzięków d' Arquianka. Wszystkich zajmowała jej piękność, zadziwiała imponująca powaga, i prawdziwie majestatyczne zachowanie się jej z drugimi.

Lekkość obyczajów charakteryzowała wówczas całe towarzystwo dworskie. Marya Kazimiera nie robiła też z ogólnej tej charakterystyki wyjątku. Własne jej usposobienie dodawało jej tym więcej ochoty do przyjęcia udziału w ogólnych zabawach, w plotkach i intrygach dworskich, próżne umysły zazwyczaj zaprzatających. Już to w intrygach a mianowicie miłosnych Marya przed wszystkiemi się odznaczała. Przekonamy się później jak zręczną maską obłudy umiała pokryć nikczemne widoki i zamiary własnej miłości, pozornie odgrywając rolę najcnotliwszej i najbogobojniejszej dziewicy. W szkole etykiety i pozornej cnoty wyćwiczona, nie mogła Marya rozwinąć w sercu swojem tych najpiękniejszych przymiotów serca niewieściego, które tylko zakwitnąć mogą, gdy je święta wiara i poczciwa rodzicielska uprawia miłość. Miasto tych świętych uczuć panna d' Arquian zagłuszała i tak dość już głuche na uczucia serce, wytępiając w niem mimowoli może jednę po drugiej świętość, a napełniając je zachceniami doczesnych rozkoszy, i namiętnościami, cechującemi najniżej stojącego człowieka.

Taką drogą przechodziła panna d' Arquian młodzieńcze lata swoje. Przyczyną tego było najprzód na złych, zepsutych, francuskich zasadach rozpoczęte wychowanie, następnie zbyt wczesne usunięcie się z pod oka rodziców, którzy, pomimo bardzo małego zajęcia się losem swych dzieci, zawsze lepszą by nad nią rozciągnęli opiekę, niż trzymająca ją tylko dla swego przepychu i okazałości królowa. Przyczyną tego zwichnięcia w wykształceniu serca d' Arquianki była także i wadliwa cecha wieku, w którym już i w Polsce, wojnami ciągłemi i wewnętrznemi rosterkami zajętej, wygasł ów duch staropolski, który dawniej na tak zacne i świątobliwe nie-

*) Psyche, utwor poetyczny Morsztyna, wytrysnął z ówczesnej dworskiej galanteryi źródła, i dokładny nam jej obraz daje. R.

wiasty — i najmożniejszych rodzin wyprowadzał] dziatwę. Zagasł już ów duch, który kierował młodocianemi laty Jadwigi, Anny Jagiellonki, który z nich krajowi wieczną zgotował chlubę. Królowa i dwór cały zupełnie innym ulegli zwyczajom, i zupełnie na co innego zwracali swoją uwagę, na tradycyą poprzedników nie bacząc, nie znając jej nawet. Religijność, pobożność, cicha domowa cnota i pracowitość, bogobojne wychowanie dziatek, i macierzyńska opieka nad całym narodem, niby nad jedną rodziną, której król ojcem a królowa matką się stawali, owe znamiona dawniejszej świetności narodu znikły bez śladu z wprowadzeniem do Polski cudzoziemskich obyczajów, obcej i nieznanej nam dotąd etykiety, całą wartość cnoty powierzchownością mierzącej, i zaprowadzeniem, że tak powiem, nowej wiary — nowego nieledwie... Boga!

Przyglądając się jednak postępowi życia pięknej i wielu panów polskich zwracającej na się oczy d' Arquianki, musimy się także przypatrzyć położeniu ówczesnemu Polski, które przygotowywało jej publiczne wystąpienie, i przygotowywało tę wielką rolę, jaką później ta próżna, dumna, grymasna i nikczemna francuska na widowni dziejów naszej ziemi, tak srodze za jej młodocianych czasów nieszczęściami nękanej, odegrać miała, a odegrać z najwyborniejszym talentem.

Poświęcimy też dla tego słów kilka krótkiemu zobrazowaniu ówczesnej epoki.

(C. d. n.)

ZEMOWIT,

Książę Mazowiecki.

(Z podań ludu).

Trzy serduszka nie do pary,
Zawsze smutno, zawsze biedno,
Bo pozostać musi jedno,
A nadłamać drugie wiary,
A rozpaczyć musi trzecie.

Z dram. J. Szujskiego „Zborowscy."

I.

Wśród świerkowego lasu stare mury
Rawskiego zamku sterczą — u stóp góry
Spieniona Rawa, jak pies u nóg pana,
W ciemnych parowach skał warczy wezbrana.
Nad zamkiem niebo milczące, wspaniałe,
Jakby z sinego kamienia żłobane,
Iskrzy gwiazdami — niżej chmurki białe,
Sieroty jakieś, bez matki, zbłąkane,
Skulone płyną, a wiatr miota niemi,
I patrzą smutne po niebie i ziemi.

Na zamku jasno! służba w świetnej szacie,
Bo znacznych gości najechało siła,
W dziedzińcach wrzawa, a szlachta w komnacie
Miód do ust gwarnych z pucharów chyliła.
I Mazowiecki książę siadł za stołem,
I po pijanych twarzach wodził kołem,
Kościste palce z siwą brodą kuma,
Srebrny włos czesze, i tak sobie duma:
— Ano tron pustką znów w starym Krakowie,
A ja Piast przecie, i radni panowie
Wtórem mi biją, to może obiorą,
Gdy się na sejmy do Krakowa zbiorą.
Tak dumał książę i chwycił szklennicę,
I wszyscy wstali i wołali głośnie:
Wiwat król polski! — On dumą wzdął lice,
Kłaniał się w koło i śmiał się radośnie.

Lecz w jednej z komnat, jak w grobie zamkniętym,
Ciche drżą modły, mdława lampa płonie —
Niewiasta biała przed obrazem świętym
Klęczy schylona złożywszy swe dłonie;
Rzęsy jej drżały tak srebrnemi łzami,
Jak trawy rosą drżą letniego rana,
A twarz przecudna, bólem i troskami
Była, jak karta, cała zapisana;
To żona księcia i Rawskiego pana:
— Czyście widzieli nad piaszczystym brzegiem
Kwiat, który woda wciąż muli i nurzy,
I falą depcze i rwie za swym biegiem,
A on złamany, chociaż z piętnem burzy
Na czole, wstaje, ku niebu się wspina,
Podarte listki na słońcu rozpina?
Taką niewiasta w swej modlitwie była.
— Czyście wy czuli jak to żyć rozpacznie,
Kiedy się dusza w dwie myśli rozkruszy
Sprzeczne, i kiedy myśl o myśl tłuc zacznie,
Aż spokój, szczęście wypłoszą precz z duszy?
W zamku jej ojca był giermek uroczy,
Z ognistą duszą, a czarne mu oczy
Jak dwie jaskółki za księżną latały,
I tak miłośnie i modlnie patrzały.
I ona była tak młoda — on młody,
Więc przylgli k' sobie jak dwie krople wody.
Lecz jasne rano prędko przeminęło,
I szczęście Hanny we łzach utonęło:
Ojciec niezważał na szlochy dziewczęcia,
(Wszak każda dziewka płacze u kobierca),
I wydał córę za starego księcia,
I złamał naraz dwa życia — dwa serca.

Śliczna ta Rawska Pani! — twarz jej biała,
Jak z alabastru kuta, cudnie lśniała
W czarnej oprawie jedwabnego włosa,
I w kształt się cudny gięła szata długa.
I nieraz Janusz, stary księcia sługa
I ulubieniec patrzy, w nią z ukosa,
Spluwa i mówi: „urodaż — uroda,
„Szkoda że Niemka, bardzo wielka szkoda,
„Byłaby w niebie, wartać nieba, warta."
Bo Janusz Niemca bał się jako czarta,

Żegnał się przed nim — ot zwyczajnie stary,
Głupi a nieuk, zabobonnej wiary.
Gdy książę w Niemcy z hufcami licznemi
Po żonę jechał, on jak snop na łanie
Do nóg mu runął prosząc: „nie jedź panie!
„Bo sobie smutek przywieziesz z tej ziemi.
„Ojciec mój zginął w wyprawie Trojdena
„W niemieckich puszczach, i córka jedyna,
„Dzieckiem porwana, dziś wrogowi może
„Przędzie len biały i zaściela łoże,
„I zapomniała może swojej mowy,
„I swego domu i mej siwej głowy —
„Więc oną ziemię przekląłem dla tego
„Od niemowlęcia do starca siwego —
„Może Bóg starca wysłuchał przekleństwo.
„Więc ja ci panie dłońmi nogi zwiążę,
„I tam nie puszczę, bo ja wierzę książę,
„Że z onej ziemi pójdą na nas biedy.“
Tak prawił Janusz — książę śmiał się wtedy
Na całe gardło, mówił: „próżne mary,
„Niemka czy Ruska, byleby uroda,
„A mnie potrzebna bardzo żonka młoda,
„Bym zmłodniał przy niej — zmłodnę, ciesz się stary.“
I Niemka żoną książęcia została,
I pierwszą miłość, co szczęściem nazwała,
Los jej połamał i rzucił pod nogi,
Że tego podnieść niemogła bez grzechu,
I czarnym kwiatem zasłano jej drogi,
Gdzie już nie było dla niej szczęścia, śmiechu;
Więc miłość grzeszną chciała zabić w sobie,
I łzami zalać i krzyż jak na grobie
Postawić w sercu, i być uświęconą
Bólem poświęceń, i być dobrą żoną.
Czylisz dotrzyma? niewiem — w takiej chwili
Anioł i szatan nad sercem się chyli —
Czasem pierś pęknie, nim walkę wytrzyma,
Chyba pierś twarda, lub w niej serca niema.

Drzwi się otwarły i książę wszedł niemi,
A butnie stąpał po miękkich dywanach,
Twarz mu pokrasła wiwaty częstemi,
Wesołym gwarem przy gościach, przy panach,
A oko w siwej iskrzyło tak rzęsie,
Jak słońce zimą przez śnieżne gałęzie.
Przyszedł, bo bardziej niż pochlebstwa szumy
Kochał swą żonkę — dumę swojej dumy.
„Wy tutaj panie?“ niewiasta zagada,
I opuściła modlitewne łoże,
I żywa krasą spłonęła twarz blada,
Niewiem czy z wstydu, czy z bojaźni może.
A książę żonę otoczył rękami —
Gładził jej włosy, i mówił słowami:

„Co tobie Hanno? serce coś nierade,
„I oczy mokre i liczko masz blade,
„A dusza w smutnych myślach tak ci ginie,
„Że rzadkie słowo z bladych ustek płynie.
„U twego ojca Hanno byłaś iną;
„Kiedy pamiętam zajadę gościną,
„Kiedy w świetlicy za ciosowym stołem
„Z pucharem siedlim i gwarem wesołym,
„To stary ojciec w długim rozhoworze
„O swej się dziewce nagadać nie może.
„Jak nieraz smutny usiędzie, a wiankiem
„Czarne mu dumy posiędą wśród czoła —
„Ty wnet przybiegasz i — jak pszczółka rankiem
„Nad wonnym kwiatkiem — latasz do koła,
„Wesołe słówka brzęcząc mu do ucha,
„Aże się stary, rozpatrzy rozsłucha,
„I w twych pieszczotach stare topi bóle;
„I czemuż Hanno teraz ty nie taka?
„W pacierzach usta, a w różańcu dłonie,
„Na klęczkach ciągle jak mniszka w zakonie.
„Jeżeli na dnie masz zgryzot robaka,
„Co modłów pragnie, i poi się łzami —
„Powiedz, a klasztor postawię w ofierze,
„Modlitwę panu kamienną za nami,
„I mnichy szeptać w nim będą pacierze,
„Za mnie, za ciebie, co wieczór i rana,
„Tylko ty się mniej módl, moja kochana!
„Może ci niedość mój zamek bogaty,
„Może się niedość błyszczą te komnaty —
„Może szat mało i pereł w komorze?
„Powiedz, rozkazuj — poszlę choć za morze.
„Jeno się nie smuć, bo na żałość czyją
„Ludzie otwarte mają ucho — oko,
„I błoto w garści, i radzi niem biją,
„Gdzie im za jasno, gdzie im za wysoko.
„Może ktoś, widząc w płaczu twe oczęta,
„Myślałby sobie, że ty nie kontenta
„Ze mnie starego, bo ma broda siwa,
„Że ci się gaszka młodego zachciewa.
„O! jabym nie chciał na mej tarczy z złota
„Choć kroplę kiedy widzieć tego błota —
„Rozumiesz Hanno?“ — Mówił, i w ramiona
Otulał drżącą — a wtedy mu ona
Z za siwych włosów wyglądała prawie
Jak kwiatek polny w przydrożnej kurzawie.
A potem poszli oboje dłoń w dłoni
Zasiąść w świetlicy przy gościach, przy panach.
Pusta komnata zda się tęsknić po niej,
I modły Hanny konały po ścianach.
A z drugiej strony słychać było gwary,
Jak na cześć Hanny puhary spełniono,
Urodę... gości podziwiało grono —
Aże rósł w dumę, w rozkosz książę stary.

II.

Książę wyjechał na krakowskie pole,
Więc zamek pusty — Hanna przy kądzieli
W komnacie sama, na jej bladem czole
Zachodni promień złotem drży i dzieli
Z nią myśli, co jej szumią dziś po głowie.
Słońce już za las zapadło w połowie,
I wiatr, co drzemał pomiędzy liściami,
Zbudził się, wybiegł, potrząsnął listkami,
Pobiegł za słońcem a w szybkim przechodzie
Całował kwiaty i wonne oddechy
Z otwartych ustek brał, i po ogrodzie,
I chłodnej rosie rozsiewał z uciechy.
Wysokie drzewa zielonemi głowy
Chwiały i gwarne szumiały rozmowy.
A Rawa szemrze, szeleszcze u spodu,
Niby pacierze w zaroślach ogrodu.

Hanna na białej oparła się dłoni
W oknie komnaty, pamięcią coś goni,
I o czemś marzy, jasne oczy duże
Wpatrzyła w słońce, co na szczytach boru
Konało. — Zgasło, pociemniało w górze,
I cicho gwiazda wystrzeliła blada
Jak pierwsze słowo dzieciny wieczoru,
Nim całun krociem gwiazd do niej zagada.
Patrzała Hanna, ale wzrok był szklanny,
Niewidział świata — w myślach dusza Hanny,
I dawne latka śmieją się jej senne,
Jak gwiazdy nocą przeze mgły jesienne.
I od dum jasnych, z któremi igrała,
Płonęła kwiatów rumieńcem twarz biała.
I długo, długo tak senne widziadła
Dawnego życia goniła różowe,
Aż myśl znużona znów na ziemię padła,
I Hanna smutnie w dół zwiesiła głowę.
O! bo wspomnienia, to iskry, co nocą
W popiele myśli bryzgają, migocą —
I człek w nie patrzy, a gdy zgasną w zmroku
To potem smutniej jeszcze duszy — oku.

W tem za ogrodem koń zagrał kopytem,
W obłoku kurzu ktoś śladem ubitym
Leciał do zamku. Trąba straży, echem
Po pustych murach zagrała potężno,
I stary sługa księcia ulubiony
Wszedł do komnaty i pokłon schylony
Uczynił księżnie, i rzekł: „wielka księżno!
„Z niemieckiej ziemi od ojca waszego
„Poseł przyleciał — czy mam wpuścić jego?“
Dla czegoż księżna pokrasła tak cała?
„Wiedźcie go tutaj Januszu“ szeptała,
I drżącą ręką kądzieli szukała,
A na spokoju siląc się udanie
W powagę księżny kryła pomięszanie.
Do komnat księżny wszedł germek z nad Niemna,
Czarne mu włosy pływały do koła,
Dwie zmarszczki bólu szły mu środkiem czoła,
A oczy ciemne tak jak przyszłość ciemna.
Wszedł, i na księżnę wpatrzył oczu dwoje,
I długą chwilę milczeli oboje.
„Księżno — rzekł potem — rodzic was pozdrawia,
„O zdrowie pyta i podarki stawia
„Przez moje dłonie“ — i podał w jej dłonie
Zamorskie dary, a oboje drżeli
Jako drży ziemia, gdy wulkan wre w łonie,
I oczy w ziemię obrócone mieli.
Po chwili drżącym głosem księżna biała
O swego ojca giermka znów pytała.
„Wasz rodzic księżno? o zdrów, wesół stary,
„Służba mu winem napełnia puhary,
„I w gości gronie chwali to zamęźcie,
„Pijąc za zdrowie mazowieckiej szczęście.
„Ale są inni księżno w ojca dworze,
„Co radość starca przeklinają może,
„Co mrą z tęsknoty, a umrzeć nie mogą,
„Kąsając własną duszę męką srogą,
„Jak ten co w grobie ze snu się obudzi.
„Czy o tych księżna spytać się nie trudzi?“
Tu mu głos zcichnął w syk gadziny prawie,
Co się od bólu przerzuca po trawie,
I do nóg księżnej przypadł: „Hanno miła!
„Czyś ty już pamięć dawnych dni straciła
„Naszej miłości? — czy nie zimno tobie
„Przy starym księciu, w takim ciemnym grodzie,
„Przy zimnem sercu i przy siwej brodzie?“
Klęczał i ręce w prośby złożył obie.
„Ty milczysz? wiesz ty, że w mem życiu całem,
„Prócz twej miłości, ja już nic nie miałem.
„To też jak lampa przed świętym obrazem
„Tlała mi w duszy — a ty jednym razem
„Dmuchłaś niewiarą i życie mi ciemnie,
„I dym z tej lampy duszę gryzie we mnie!“
„Przestańcie — szeptała księżna — smutna dola,
„Lecz się nie zmieni, ojca była wola.“
„O taką wolę złamać nie grzech było
„Dumnego starca, co swą córkę miłą
„Sprzedał, by księcia nazwał zięciem drogim,
„Choć zięć z narodu, co naszemu wrogim.
„Oh! wasza miłość — to pajęcze nici,
„Gdy w słońcu szczęścia — to jak złoto świecie,
„A kiedy burza nieszczęść przyjdzie potem,
„Zmięta upada i staje się błotem.“
Tak mówił giermek i pociemniał twarzą,
I czarne oczy deszczem łez się skarżą,

I zrozpaczonej duszy boleść cała,
Cała tęsknota za szczęściem miłości
Tak na łzach drżała, że zdało się skała
Zapłacze nad nim z żalu i litości.
Nie zapłakała księżna choć bolesną,
W chłodną powagę białą twarz oblekła,
Choć serce wrzało, i do giermka rzekła:
„Przestańcie! wiedzcie do kogo mówicie.
„Książę mym mężem, a i moim rodem,
„I jego naród dziś moim narodem,
„Jego obelga szarga moje życie,
„A jego sławą i ja dziś odziana.
„Idźcie już spocząć strudzeni po drodze,
„Po listy jutro stawicie się z rana!"
Gdy giermek wyszedł, księżna na kolana
Przed męką pańską padła na podłodze,
I jęk cichemi wyleciał słowami:
„O Panie Boże! zmiłuj się nad nami!"

(C. d. n.).

Przegląd dziełka:

LISTY KRAKOWIANKI

jako nagroda dla pilnych Panienek.

Kraków, nakładem czcionkarni (sic) Ż. J. Wywiałkowskiego. 1861. (8vo str. n. l. 4, l. 109).

(Dokończenie).

List powyżej umieszczony zajmuje się istotnie bardzo ważnym przedmiotem, którym jest dobry przykład, a bez którego zaiste najlepsze nauki nic lub nie wiele pomogą do rozwinięcia moralności w młodych sercach. Brak dobrego przykładu przy zdrowych naukach jest nawet ironią, a zły przykład w tym razie jest już nie ludzką, ale szatańską ironią.

Nie łatwo to jednakże z siebie dawać dobre przykłady: bo nie łatwo tak być dobrym, aby swojem życiem być dla innych nauką. A chociaż tak jest, przecież głównem zadaniem wychowania jest czynienie ludzi dobrymi, a wszystko inne, czemkolwiek wychowanie się zajmuje, powinno być tylko mniej lub więcej stósownym środkiem, środkiem mniej więcej silnym, aby zadaniu głównemu zadosyć uczynić.

Że czynić ludzi dobrymi mamy za główne zadanie, więc za ostateczny cel wychowania; że ten cel bez dobrych i jak najlepszych przykładów zaledwie kiedy osiągniętym być może: a list 46 Krakowianki przywiązuje wagę do przykładów: dlategośmy go umieścili powyżej, a nie z powodu, jakoby był najlepszą częścią dzieła, bo innym listom w niem zawartym nie mniejsze od przytoczonego przyznajemy zalety. Wszystkie zajmują się przedmiotami, zasługującemi na uwagę. Wszystkie są pisane z łatwością i jasnością. Ale przyznawszy im łatwość i jasność, nie możemy im przyznać ścisłości w tym samym stopniu, a bez której dzieła dla nauki przeznaczonego w żaden sposób doskonałem nazwać nie można. Tak np. w liście powyżej przytoczonym zaraz z góry stoi następujące zdanie: *„dla tego wam Bóg dał takie dostojne urodzenie, abyście się opiekowały kiedyś niższemi, dla tego wielkie dobra dostaniecie, abyście wspierały ubogich."* Są w tem zdaniu pojęcia mętne, nawet szkodliwe. Nie można przyznać, że jest jakie dostojne urodzenie, chociaż przyznać można, że są dzieci dostojnych rodziców. Nie można też ztąd, że ktoś jest dzieckiem dostojnych rodziców, wyprowadzić obowiązku dla innych; mówić zaś dzieciom o niższych ciężko się nie godzi: bo od dzieci, które jeszcze żadnych zasług nie mają, ani jeszcze skarbów wiedzy niezdobyły, nikt niższym być nie może, i przy największej swojej skromności i uszanowaniu form towarzyskich być niepowinien. Nie dla tego też dzieci bogatych rodziców dostają wielkie dobra, aby wspierały ubogich; lecz dla tego, że społeczeństwa ludzkie szanują cudzą własność, zaczem rodzice, rozrządzając swoją, pospolicie dają ją swoim dzieciom, które tak samo, jak i obcy sukcesorowie, mogą jej użyć na dobre, lub na złe. Ale bogaci powinni wspierać ubogich dla tego, żeśmy wszyscy powinni kochać bliźniego, jak siebie samych, a bogatemu najłatwiej udowodnić swojej dla ubogiego miłości udzielonem mu wsparciem.

Mając dzieła, dla młodzieży przeznaczone, za bardzo ważne z powodu ich wielorakiego wpływu, bylibyśmy zatem, aby takowe bez porady z najbieglejszymi pedagogami nigdy nie wychodziły na widok publiczny; równie bylibyśmy zatem, aby w ich wydaniach nie było nigdy najmniejszego zaniedbania pod względem języka, form gramatycznych i pod względem ortografii. Tak widząc rzeczy, spodziewamy się, że wydanie drugie Listów Krakowianki dopełni wszystkich, dopiero co wymienionych warunków.

Dziełko jest poprzedzone przedmową nieznajomego wydawcy; ale przedmowa ani nie daje skazówek młodym czytelniczkom, jak mają z dziełka korzystać, ani o śp. autorce jego bliższych nieudziela nam szczegółów.

—1.—

Pewnego pisma amerykańskiego redaktor podsłuchał następującą rozmowę w biurze rekomendacyjnem.

Służąca (siedząc na sofie): Mówią mi, że pani potrzebujesz dziewczyny służącej.

Pani (stojąc). Tak jest.

Sł. Czy masz pani ciepłą i zimną wodę rozprowadzoną po całym domu?

P. Mam

Sł. Czy jest gazowe oświetlenie w kuchni?

P. Jest.

Sł. Czy pokój służącej jest zasłany dywanami?

P. Jest.

Sł. Masz pani służącego do rozniecania ognia i czyszczenia trzewików.

P. Nie. Służąca jedno i drugie sama robi.

Sł. A to rzecz wcale licha; lecz dom pani dosyć mi się podoba, kuchnia zapewne jest dosyć wygodna, i zdaje mi się przystanę do pani. Dasz mi pani 9 dolarów miesięcznie, za mniej nigdym nie zwykła pracować.

P. Za pozwoleniem, mam się o jedno zapytać: czy aśniczka umiesz grać na fortepianie?

Sł. A . . . nie — nie koniecznie.

P. Daruj pani — takiej sługi nie mogę potrzebować.

INSERAT.

POSTĘP,

pismo malownicze rozpoczyna z dniem 1go Października b. r. Rok IIIci, i wychodzić będzie 3 razy na miesiąc, t. j. każdego 5, 15 i 25go.

Przedpłata wynosi rocznie 6 zł. — a. w.
" " półrocznie 3 zł. 50 c. a. w.
" " kwartalnie 2 zł.

Prenumeratę przyjmuje w Krakowie Księgarnia F. Baumgardtena. (2-3).

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. Antoni Rother.